

Arthur Conan Doyle



THE HOUND OF THE BASKERVILLES



Projekt okładki i ilustracje

Dariusz Romanowicz

Skład

Paweł Szewczyk

© Copyright by Piątek Trzynastego, Łódź 2004

Wszelkie prawa autorskie i wydawnicze zastrzeżone. Wszelkiego rodzaju reprodukcje, powielanie (łącznie z kserokopowaniem), przenoszenie na inne nośniki bez pisemnej zgody wydawcy jest traktowane jako naruszenie praw autorskich, łącznie z konsekwencjami przewidzianymi w *Ustawie o prawie autorskim i prawach pokrewnych* (Dz. U. nr 24 z 23.02.1994 r., poz. 83).

ISBN 83-7415-051-3

PIĄTEK TRZYNASTEGO Wydawnictwo

Michał Koliński i Michał Wiercioch

90-009 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 61

tel./fax (0-42) 632 78 61, 630 71 17, tel. 0-602 34 98 02(06)

infolinia: 0-604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg. 4147954, 4146841

www.piatek13.com.pl; e-mail: kot@piatek13.com.pl

Łódź	rok: 2007	2006	2005	2004	ostatnia					
Wydanie I	rzut: 9	8	7	6	5	4	3	2	1	liczba

Druk i oprawa:

PIĄTEK TRZYNASTEGO Drukarnia

93-345 Łódź, ul. Paradna 3

tel. 0-602 34 98 02(06)

Printed in Poland

Rzeczywiście wypadki łączą się w zadziwiający sposób. A jednak, mój drogi przyjacielu, przyznasz, że każde z tych wydarzeń może być wyjaśnione w sposób zupełnie naturalny.

Arthur Conan Doyle
„Mumia zmartwychwstała”

Mumia zmartwychwstała

I

Prawdopodobnie nigdy nie będzie można sformułować definitywnego i absolutnego sądu o tym, co wydarzyło się między Edwardem Bellinghamem i Williamem Monkhouse'em Lee i o przyczynie wielkiego strachu, przeżytego przez Abercrombiego Smitha.

Posiadamy kompletną i jasną relację z ust samego Smitha, relację wzmocnioną świadectwem służącego Tomasza Styles'a, czcigodnego doktora Pluptre'a Petersona, członka starego uniwersytetu, tudzież innych osób, które przypadkowo były obecne przy tym lub owym wydarzeniu tego osobliwego łańcucha wypadków. Jednak odpowiedzialność w głównej mierze spada na samego Smitha i większość czytelników pomyśli, że właściwiej będzie raczej przypuścić, że mózg ludzki, chociaż na pozór zdrowy, miał pewne luki w swych tkankach i jakiś osobliwy błąd w swym funkcjonowaniu, aniżeli sądzić, że natura wyszła ze swego łożyska wśród białego dnia, w samym centrum nauki i światła w tak rozślawionym po świecie uniwersytecie oksfordzkim.

Jeżeli jednak pomyślimy, jak dalece drogi są ciemne i powikłane, jak słabe światło rzucają wszystkie lampy naszej wiedzy, gdy chcemy te drogi oświetlić, jakie otaczają je ciemności, jak wielkie i straszne

wyłaniają się z nich niewyraźnie możliwości, gubiące się w cieniu, gdy sobie to wszystko uprzytomnimy, to dojdziemy do wniosku, że śmiałym i bardzo ufny w siebie musiałby być człowiek, który sądziłby, iż uda mu się ograniczyć te osobliwe ścieżki, po których błądzi umysł ludzki.

W jednym skrzydle tego gmachu, który nazywamy starym uniwersytetem oksfordzkim, znajduje się wieżyczka, pochodząca z bardzo dawnej epoki. Łuk, okalający od góry jej otwartą bramę, przygiął się pośrodku pod ciężarem lat, a bloki szarego kamienia, pocętkowanego mchem, powięzwały sznury bluszczu, jak gdyby stara matka natura chciała je umocnić przeciw wichrom i burzom.

Od drzwi spiralnie biegną w górę kamienne schody, które prowadzą do dwóch przedsionków, a zatrzymują się w trzecim. Schody te są zniekształcone i wydeptane głęboko przez liczne generacje poszukujące tu światła wiedzy.

Życie biegło jak woda, z góry na dół, po tych krętych schodach i również jak woda pozostawiło tu wypolerowane przez zużycie ślady z epoki Plantagenetów aż do eleganckich kobiet XX wieku – co za piękny obraz angielskiego życia.

Co pozostało obecnie z tych wszystkich nadziei, wszystkich wysiłków, wszystkich potężnych energii? Cóż pozostało oprócz grobów na cmentarzu i trumien zgniłych, zjedzonych przez robactwo?

A tymczasem te ciche schody, ten stary, szary mur ze swoimi znakami i rytymi herbami, które można jeszcze odcyfrować na jego powierzchni niby jakieś

groteskowe cienie, rzucone spoza zasłony minionych dni, istnieją i trwają jeszcze.

II

W maju roku 18... trzech młodych ludzi zajmowało apartamenty, z których otwierał się widok na kondygnacje starych schodów.

Każdy taki apartament składał się z gabinetu i sypialni, podczas gdy odpowiednie pokoje parterowe służyły jako skład węgla oraz jako siedziba dla służącego Tomasza Styles'a, którego obowiązkiem było obsługiwać trzech mężczyzn mieszkających nad nim.

Na prawo i na lewo znajdowały się sale lektury. W ten sposób mieszkańcy starej wieży byli do pewnego stopnia izolowani, co najpilniejszym uczniom bardzo odpowiadało, gdyż mieli absolutny spokój przy pracy.

W owej epoce, o której będzie mowa, trzech młodych ludzi zajmowało te mieszkania: Abercrombie Smith, Edward Bellingham nad nim i Wiliam Monkhous Lee na niższym piętrze.

Pewnej pięknej, wiosennej nocy o godzinie dziesiątej wieczorem Abercrombie Smith, siedząc w fotelu z wyciągniętymi przed siebie nogami, palił fajeczkę z drzewa wiśniowego. W podobnym fotelu, również wygodnie rozparty, siedział naprzeciwko niego jego dawny kolega szkolny Jephro Hastie. Obaj młodzieńcy byli ubrani w koszule flanelowe, ponieważ popołudnie spędzili na rzece. Pominawszy ich ubranie, wystarczyło przyjrzeć się wyrazistym ogorzałym

twarzom i krzepkim postawom, aby bez trudu skonstatować, że są to ludzie, którzy mają upodobanie do wszystkiego, co jest prawdziwie męskie i ma styczność z przyrodą. Obaj byli najlepszymi wioślarzami w kolegium. Jednak ostatnio bardzo bliski egzamin rzucał cień na swobodę Smitha i przytrzymywał go przy książce, zezwalając na oddawanie się sportowi zaledwie przez kilka godzin w tygodniu.

Stos książek medycznych na stole, kilka kości szkieletu, modele i rysunki anatomiczne wskazywały na charakter studiów młodzieńca, podczas gdy para hantli i rękawice bokserskie porzucone na kominku sugerowały, że kształcąc umysł, nie zaniedbuje ćwiczeń fizycznych.

Smith i Hastie znali się tak dobrze i tak dobrze się rozumieli, że mogli siedzieć obok siebie, trwając w tym błogosławnym milczeniu, które jest dowodem najwznieślej przyjaźni.

– Czy chcesz whisky? – zapytał wreszcie Abercrombie Smith. – W karafce jest „Szkot”, a „Irlandka” w butelce.

– Nie, dziękuję ci, przyszedłem tutaj po czaszki. Nie używam alkoholu w czasie pracy. A ty?

– Zatopiony jestem w moich książkach i sędzę, że lepiej się od nich nie odrywać.

Hastie wykonał ręką gest potwierdzenia i obaj znowu pograżyli się w uspokajającej nerwy ciszy.

– À propos Smith – zaczął Hastie – czy już zapoznałeś się z któryś z twoich sąsiadów?

– Kiedy się spotkamy, kiwamy sobie głową na znak pozdrowienia i nic więcej.

– Hm, byłoby lepiej, gdyby można pozostać przy tym, nie mam do nich zaufania. To znaczy, nie mogę nic specjalnego powiedzieć przeciwko Monkhouse'owi Lee.

– Masz na myśli tego chudeusza?

– Właśnie jego. To bardzo przyzwoity chłopiec, nie sędzę, aby można było mu coś zarzucić. Ale nie podobna z nim obcować, nie obcując jednocześnie z Bellinghamem.

– Bellingham, to ten gruby?

– Tak, to ten gruby. A to jest człowiek, którego wolałbym zupełnie nie znać.

Smith podniósł oczy i spojrzał na swojego towarzysza.

– Co ci się w nim tak nie podoba? – zapytał. – Czy pije, czy gra, czy wyraża się ordynarnie? Zwykle nie odznaczasz się taką surowością sądu.

– Widać, że nie znasz tego człowieka, gdyż w przeciwnym razie nie stawiałbyś takich pytań. Coś jest w tym człowieku odpychającego, coś ze wstrętnego płaza. Kiedy go tylko widzę, dziwnie mi się ściska gardło. Jestem mocno przekonany, że ten człowiek ma jakieś ukryte, złe strony charakteru, że życie jego pełne jest ciemnych plam. A jednak nie jest bynajmniej człowiekiem głupim. To podobno najtęższy specjalista, jakiego kiedykolwiek miało kolegium.

– Medycyna czy literatura?

– Języki wschodnie. To prawdziwy diabeł w tej dziedzinie. Chillingworth, który go spotkał kiedyś w Arabii, opowiadał, że mówił on po koptyjsku

z Koptami, po arabsku z Beduinami i to tak biegle, że zachwyceni gotowi byli całować kraj jego płaszcza. W tamtejszych skałach żyje kilku starych pustelników, którzy spoglądają na wszystko ze swoich wyżyn i pluja, kiedy spotkają przypadkiem cudzoziemca. Ale gdy zobaczyli tego Bellinghama i gdy powiedział do nich kilka słów, padli przed nim na twarze. Chillingworth oświadczył, że nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

A Bellingham tak się zachowywał, jakby to była najnaturalniejsza w świecie rzecz i jakby mu się taki hołd należał. Uwijał się wśród nich najspokojniej i przemawiał do nich z wysoka, niby jakiś wuj, który przyjechał z dalekiej podróży.

– To niezłe, jak na ucznia starej wszechnicy oksfordzkiej, nieprawdaż? A dlaczego powiadasz, że nie można znać Lee, nie obcując jednocześnie z Bellinghamem?

– Ponieważ Bellingham jest zaręczony z jego siostrą Heleną. Powiadam ci Smith, że to urocza dziewczyna! Znam dobrze całą rodzinę. Wstrętna jest sama myśl, że ona ma stać się żoną tego bydlaka. Ropucha i gołąbek, oto co mi zawsze przypominają.

Abercrombie Smith uśmiechnął się i wytrząsnął popiół ze swojej fajki.

– No mój chłopcze, mów szczerze – rzekł. – Trudno mi bowiem wierzyć, abyś się kierował tylko samymi uprzedzeniami. Czy nie masz innych zarzutów przeciwko temu chłopcu, którego zdajesz się darzyć tak wielką antypatią?

– Znam ją od dziecka, tę małą, słodką Helenę i nie chciałbym, ażeby ryzykowała swoje szczęście. A to stanowczo jest ryzyko. On ma wygląd zwierzęcy, więc i charakter musi mieć zwierzęcy. Czy przypominasz sobie jego kłótnie z Long Nortonem?

– Ależ nie, zapominasz ciągle, że ja jestem tutaj od niedawna.

– To prawda, było to ubiegłej zimy. Znasz przecież tę drogę, która biegnie wzdłuż wybrzeża rzeki. Szło nią kilku kolegów z Bellinghamem na czele. Stara kramarka z placu targowego kroczyła ku nim z przeciwnej strony. Padał właśnie deszcz. Wiesz dobrze, w co się zamieniają te równiny w czasie deszczu. Wąska droga biegnie pomiędzy rzeką a wielkim bagniskiem, prawie tak szerokim jak ona. I oto, wyobraź sobie, co robi ten opasły wieprz: staje i popycha tę starą kobietę w błoto tak, że i ona, i jej towary kompletnie się zabrudziły czarną mazią. Staruszka rozplakała się, a Long Norton, najmilszy chłopiec pod słońcem, powiedział temu bydlakowi, co myśli o jego zachowaniu. Jedno słowo wywołało drugie i wreszcie zirytowany Norton palnął laską w plecy tego podłego grubasa. Sprawa ta nabrała diabelskiego rozgłosu i doprawdy warto widzieć spojrzenia, jakie Bellingham rzuca Nortonowi, kiedy się spotkają. Tam do licha, to już jedenasta godzina.

– Nie wstawaj, zapal jeszcze fajeczkę.

– Spiesz mi się. Gawędzę tutaj z tobą, zamiast wziąć się do pracy, która na mnie czeka. Pożyczysz mi twojej czaszki? Wiliam już od miesiąca ma moją.

Wzięłbym także twoje kości ucha, jeżeli ich sam nie będziesz potrzebował.

Widząc przyzwalający gest kolegi, rzekł:

– Dziękuję ci, nie potrzebuję żadnej torby, zaniosę to tak, w rękę. Dobrej nocy, a i nie zapominaj, co ci mówiłem o twoim sąsiedzie.

III

Kiedy Hastie, zabrawszy swoje preparaty anatomiczne, zszedł na dół po krętych schodach, Smith przysunął fotel bliżej lampy i zatopił się w studiowaniu olbrzymiego tomu w zielonej okładce, ozdobionego wielkimi, kolorowymi tablicami.

Młody student, chociaż całkiem niedawno przybył do Oxfordu, nie był już nowicjuszem w medycynie. Pracował przez kilka lat w Glasgow i w Berlinie, a zbliżający się egzamin miał mu dać definitywne prawo wykonywania praktyki lekarskiej.

Był to człowiek, który ze swoimi energicznie zarysowanymi ustami, szerokim czołem, inteligencją ujawniającą się z trochę twardych rysów, jeżeli nie posiadał geniuszu, to w każdym razie zdradzał tyle energii, cierpliwości i sił duchowych, że rokował najlepsze nadzieje. Smith, choć był młody, zdobył sobie już doskonałą markę w Szkocji i w Niemczech, a obecnie wszystko wskazywało na to, że dzięki swej pilności i niezmiernie pracowitej pracy, wyrobi sobie imię także w Oxfordzie.

Smith spędził godzinę nad książkami, a wskazówki stojącego na sąsiednim stole zegara zatrzymały się na godzinie dwunastej, gdy nagle jakiś hałas zwrócił

jego uwagę. Był to dźwięk ostry i świszczący, niby oddech człowieka, który upada pod wrażeniem jakiegoś nagłego i silnego wzruszenia.

Smith oderwał oczy od kart książki i wyteżył słuch. Nikt nie mieszkał ani obok niego, ani ponad nim, a zatem hałas, który mu przerwał pracę, pochodził z mieszkania sąsiada z niższego piętra, z mieszkania tego człowieka, o którym Hastie właśnie wyrażał się w tak nieprzychylny sposób. Natomiast Smith nie żywił do Bellinghama żadnych uprzedzeń i raczej był zdania, że Hastie myli się, przypisując Bellinghamowi jakieś ukryte tajemnicze wady i przywary.

Przez jakiś czas hałas nie powtórzył się i Smith miał już zamiar zabrać się z powrotem do roboty, gdy nagle ciszę nocy rozdarł straszliwy krzyk – prawdziwy krzyk zgrozy. Rozpaczliwe wezwanie człowieka terroryzowanego przez jakąś nieodpartą siłę.

Student zerwał się z fotela i rzucił książkę na ziemię.

Smith był wprawdzie człowiekiem o mocnych nerwach, ale w tym krzyku, mącącem nocną ciszę, było coś tak strasznego, tak groźnego, że krew lodowaciała w żyłach. Przez chwilę wahał się, co począć w tym przypadku; zastanawiał się, czy ma zbiec na dół.

Tkwiał w nim silny, narodowy wstręt, właściwy wszystkim Anglikom, do wstrząsających scen, a swego sąsiada znał przecież tak mało, że nie mógł sobie przypisywać prawa ingerencji w jego sprawy.

Wahał się jeszcze, jak postąpić, gdy nagle usłyszał odgłos szybkich kroków na schodach. Młody Monkhouse Lee na wpół tylko ubrany, blady jak płótno wpadł do jego pokoju.

– Chodź ze mną – krzyknął – Bellingham zachorował.

Abercrombie Smith pobiegł za kolegą do mieszkania położonego tuż pod jego pokojem. Pomimo że myśl jego była zaabsorbowana tym, co zaszło, nie mógł się powstrzymać, aby po wejściu do pokoju nie rozejrzeć się wokół zdziwionym wzrokiem. Zaiste, urządzenie tego pokoju było nieprzeciętne i przypominało raczej muzeum aniżeli gabinet do pracy. Ściany, a nawet sufit pokryte były dziesiątkami dziwacznych szczątków egipskich czy wschodnich: nienaturalnie wielkie osoby o ostrych liniach, dźwigające jakieś ciężary lub broń, tworzyły w sali dziwaczny fryz.

Ponad tym wznosiły się posążki o głowach byków, bocianów, kotów, psów, jacyś monarchowie o oczach przypominających migdały, których głowy przybrane były w wieńce ze żmij, dziwne bóstwa w kształcie skarabeuszów egipskich, wycięte z lazurytu. Horus, Izyda i Ozyrys spoglądali z każdej niszy, każdej etażerki, z wyżyn sufitu, na którym był zawieszony również wielki krokodyl o zwisającej szczęce. Pośrodku tego oryginalnego gabinetu stał duży czworokątny stół, przywalony stosem pism, butelek i zasuszonych liści rośliny, zdającej się mieć pokrewieństwo z palmą.

Wszystkie te najrozmaitsze przedmioty nagromadzone były bezładnie, widocznie w tym celu, aby zrobić miejsce sarkofagowi mumii, którą widocznie prze-

niesiono spod ściany obok stołu. Sama zaś mumia – a był to widok okropny, bo jej głowa wydawała się niby zwęglona – do połowy wyjęta ze swojej trumny, trzymała na stole ręce o palcach zakrzywionych na kształt szponów. Wielki rulon ze żółkniętego papiirusu oparty był o sarkofag, a właściciel tego mieszkania siedział w fotelu z głową odrzuconą w tył, z oczyma osłupiałymi ze zgrozy, trzymając rękę kurczowo zaciśniętą na szczęce krokodyla, który zwisał ponad jego głową. Grube wargi lokatora, w tej chwili prawie zupełnie błękitne, przy każdym oddechu wydawały świszczący dźwięk.

– Boże mój! On umiera! – wykrzyknął przerażony Monkhouse Lee.

Monkhouse, bardzo przystojny, szczupły młodzieniec, ze smagłą cerą i czarnymi oczyma, o typie raczej hiszpańskim, aniżeli angielskim, swoją żywą gestykulacją różnił się od flegmatycznego po anglosaksońsku Abercrombie’ego Smitha.

– Zdaje mi się, że to tylko omdlenie – oświadczył medyk. – Pomóż mi, weź go za nogi, a teraz połóż go na sofie. Aha, przedtem trzeba stamtąd pozbierać te wszystkie diabły z drzewa. On przyjdzie do siebie, jeżeli mu rozepniemy kołnierzyk i natrzemy skronie wodą. Co mu się właściwie stało?

– Nie mam pojęcia. Nagle usłyszałem krzyk. Natychmiast pospieszyłem na górę, wiesz przecież, że jesteśmy sobie bliscy. Dziękuję ci bardzo, że zechciałeś zejść.

– Serce mu bije niby kastaniety w tańcu – powiedział Smith, kładąc swoją rękę na piersi nieprzytomnego człowieka. – Zdaje mi się, że on przeraził się ponad wszelki wyraz. Pryśnij mu w twarz wodą. Taki dziwny wyraz ma teraz jego fizjonomia.

Zaiste była to twarz równie dziwna, jak odpychająca, o niezwykłym rysunku i barwach. Oblicze Bellinghama było blade, ale nie zwykłą bladością, jaką wywołuje przerażenie. Zdawało się, że krew kompletnie uciekła ze skóry.

Bellingham, zawsze bardzo tęgi, obecnie wydawał się jeszcze tęższy, ponieważ skóra zwisała mu luźno, tworząc fałdy. Krótkie kasztanowate włosy były wzburzone, a spod nich wyglądało dwoje wielkich grubych uszu.

Stalowoszare oczy pozostały otwarte, tylko źrenice się rozszerzyły i zdawały się spoglądać przed siebie osłupiałym wejrzeniem. Medykowi badającemu zemdlonego wydało się, że chyba nigdy na żadnym człowieku nie odbiły się dosadniej charakterystyczne cechy przerażenia. Mimo woli jego myśl powróciła do ostrzeżeń, jakich Hastie udzielał mu przed godziną.

– Co za diabeł mógł go tak przestraszyć?

– To mumia.

– Mumia? Jakim sposobem mumia?

– Nie wiem. To bardzo niezdrowe dla nerwów, gdy ktoś zbyt często zadaje się z mumiami. Wolałbym, aby mój przyszły szwagier zaniechał tego zajęcia. To już po raz drugi napędził mi takiego strachu. Taki sam atak zdarzył się ubiegłej zimy. Znalazłem go wówczas

w takim samym stanie jak obecnie, z tą samą mumią tuż przed nim.

– Po co mu ta mumia?

– Mumie to jego pasja. Wie o tym więcej niż jakkolwiek inny człowiek w Anglii. Wolałbym jednak, żeby się tym mniej zajmował.

– Ach, zaczyna przychodzić do siebie.

Lekkie barwy życia ukazały się na trupich policzkach Bellinghama. Powieki jego zadrgały. Dłonie, przedtem ściśnięte w pięść, rozwarły się. Długie, słabe westchnienie przecisnęło się przez zęby.

Nagle podniósłszy głowę rzucił wzrokiem dokoła siebie. Gdy jego oczy ujrzały mumię, natychmiast zeskoczył z sofy, pochwycił rulon papirusu, wrzucił go do szuflady, zamknął na klucz, a potem, chwając się na nogach, powrócił na sofę.

– Co się stało? – zapytał. – Czego chcecie moi przyjaciele?

– Krzyczałeś strasznie – rzekł Monkhouse Lee. Zemdląłeś. Gdyby nasz sąsiad z góry nie zszedł do ciebie, to doprawdy nie wiadomo, co by się z tobą stało.

– Ach, to Abercrombie Smith – rzekł Bellingham, spoglądając na medyka. – Dziękuję, że pan przyszedł. Cóż za głupiec ze mnie, cóż za głupiec.

Ujął głowę w obie ręce i zaczął śmiać się niepowstrzymanym śmiechem.

– No dosyć, dajmy temu spokój – rzekł Smith, wzruszając ramionami. – Pańskie nerwy są stanowczo rozstrojone, trzeba dać spokój tym zabawom

z mumiami po nocy, ponieważ może się pan doprowadzić do choroby nerwowej.

– Wątpię – odezwał się Bellingham – aby pan okazał więcej zimnej krwi, gdyby pan zobaczył...

– Co takiego?

– Ach nic, chcę tylko powiedzieć, że wątpię, aby pan mógł siedzieć w nocy, patrząc w twarz tej mumii i nie nadszarpując swoich nerwów. Ma pan istotnie rację, przyznaję, że przeliczyłem się z własnymi siłami. Ale obecnie czuję się zupełnie dobrze! A jednak, proszę, niech pan nie odchodzi, niech pan poczeka jeszcze kilka minut, zanim zupełnie dojdę do siebie.

– Zanadto duszno jest w pańskim pokoju – zauważył młody medyk i otworzył okno, pozwalając wtargnąć do pokoju fali świeżego powietrza.

– To te liście tak pachną – rzekł Bellingham. Ujął w palce jeden z suchych liści palmowych, leżących na stole, i potrzymał go ponad szkłem lampy. Ku sufitowi wzniosł się wielki kłęb dymu, a pokój przesycił ostry, drażniący zapach.

– To święta roślina, roślina kapłanów – rzekł Bellingham. – Czy rozumie pan jakikolwiek język wschodni, panie Smith?

– Ani słowa.

Zdawało się, że odpowiedź ta zdejmuje jakiś ciężar z mózgu egiptologa.

– Aha – zaczął znowu Bellingham. – Ile też czasu upłynęło od chwili, kiedy pan wszedł tutaj do mnie, aż do momentu odzyskania przeze mnie przytomności?

– Może cztery do pięciu minut.

– Tak sobie wyobrażałem, że to nie mogło trwać długo – rzekł egiptolog, oddychając głęboko – jednak, co to za dziwna rzecz taka utrata przytomności. Traci się wszelką miarę czasu. Według moich odczuć, nie mógłbym powiedzieć, czy tu chodziło o sekundy czy o tygodnie. Ten oto jegomość, który znajduje się w tym sarkofagu, znalazł się tam za czasów jedenaściej dynastii. Czternaście wieków wstecz. A jednak, gdyby go zapytać, czy mu się czas dłużył, bez wątpienia powiedziałby, że minęło to niby jedna chwila. Prawda, że to niezwykle piękna mumia, panie Smith?

Smith przybliżył się do stołu i wzrokiem fachowca badał czarny kształt, znajdujący się przed nim.

Rysy były doskonale zachowane, a dwoje małych oczu, niby dwa orzeszki, kryły się w głębi czarnych orbit. Skóra wysuszona była starannie, naciągnięta na kości. Czarne twarde włosy opadały na uszy. Dwa małe zęby, niby zęby szczura, wysuwały się spod dolnej wargi. Mumia ta, ze swoją wydłużoną głową, robiła jakieś dziwne wrażenie, jakby posiadała wewnętrzna, ukrytą energię. Było to wrażenie tak silne, że medykowi zaschło w gardle.

– Nie znam imienia tej mumii – rzekł Bellingham, przesuając ręką po tej wysuszonej głowie. – Widzi pan, że brakuje zewnętrznego sarkofagu z napisami. Nr 249 to obecnie jedyne jej imię. O i widzi pan tutaj ten numer na sarkofagu, to numer z licytacji, na której tę mumię kupiłem.

– Musiał to być swego czasu piękny chłopiec – uważał Smith.

– To był olbrzym. Mumia ma przeszło sześć stóp wysokości. Był on zatem olbrzymem w swoim środowisku, ponieważ Egipcjanie nigdy nie należeli do olbrzymów. Niech pan dotknie tych wielkich kości. Przypuszczam, że za życia niebezpiecznie było z nim zadzierać.

Może tymi rękami pomagał on układać kamienie piramid – rzekł Monkhouse Lee, obrzucając pełnym wstrętu spojrzeniem te brudne, zakrzywione pazury.

– O, nie ma obawy, ten młodzieniec był zakonserwowany, zabalsamowany, według najbardziej wyrafinowanych metod. Takich luksusów nie stosowano w przypadku ludzi niższego stanu. Ten oto egipski przyjaciel z pewnością należał do rasy szlacheckiej. Dlaczego pan się tak przypatruje temu małemu napisowi koło jego nogi, panie Smith?

– Zdaje się panu i tak bym nic nie zrozumiał, przecież powiedziałem panu, że nie znam języków wschodnich.

– Ach prawda, przypuszczam, że to imię człowieka, który go balsamował. Musiał to być fachowiec i sumienny pracownik. Zaiste, pomyślcie panowie, ile dzieł nowożytnych mogłoby przetrwać cztery tysiące lat!

Mówił dalej w tym tonie na pozór swobodnym, wesołym, ale dla Smitha było widoczne, że jeszcze cały drży z przerażenia.

Jego ręce i dolna warga drgały nerwowo, a oczy powracały ciągle do ponurego współlokatora z zamierzchłych czasów.

Pomimo tego całego zdenerwowania, w tonie jego głosu i w zachowaniu dało się odczuć niby tryumf. Oczy mu błyszczały, a kroki, którymi przebiegał pokój tam i z powrotem, były lekkie i sprężyste.

Robił wrażenie człowieka, który doświadczywszy ciężkiej próby, jeszcze nie pozbył się jej śladów, ale jest zadowolony, ponieważ zbliżyła go ona do celu.

– Jak to, pan chce już odejść? – zapytał, kiedy Smith powstał z sofy.

Widocznie perspektywa samotności budziła w nim znowu jakiś lęk. Wyciągnął rękę, jakby chcąc zatrzymać gościa.

– Tak, muszę już iść, mam dużo pracy. Pan czuje się przecież już zupełnie dobrze. Sądzę jednak, że przy pańskim systemie nerwowym lepiej byłoby, gdyby pan się oddawał studiom mniej denerwującym.

– O, na ogół wcale nie jestem nerwowo i badałem już inne mumie.

– Zemdlałeś ostatnim razem – zauważył Monkhouse Lee.

– Ach tak, to prawda. Zażyję jakiś środek uspokajający nerwy lub spróbuję leczyć się metodą elektryzacji. Wszak nie odchodzisz jeszcze Lee?

– Zrobię, jak zechcesz Ned.

– A zatem zejść do ciebie i położyć się w twoim mieszkaniu na kanapie. Dobranoc, panie Smith. Przykro mi doprawdy, że musiałem pana niepokoić z powodu takiego głupstwa.

Uścisnęli sobie ręce. Medyk, gdy szedł na górę po spiralnych schodach, usłyszał zgrzyt klucza w zamku i kroki swoich dwóch nowych znajomych, którzy kierowali się razem na niższe piętro.

IV

W ten oto sposób nawiązały się stosunki między Edwardem Bellinghamem a Abercrombie Smithem. Co prawda ten ostatni nie miał zamiaru tej znajomości pogłębiać zbyt daleko. Natomiast Bellingham zdawał się poszukiwać towarzystwa swego sąsiada i zachowywał się wobec niego w sposób tak narzucający, czasem wprost natrętny, że Smith, nie stając się niegrzecznym, musiał jednak reagować wyraźnym chłodem.

Bellingham dwukrotnie przychodził dziękować Smithowi za jego pomoc w czasie nocnego wypadku. A potem niejednokrotnie ofiarowywał mu książki, pisma i starał się czynić te wszelkie drobne usługi, jakie jeden nieżonaty sąsiad może zaoferować drugiemu sąsiadującemu z nim samotnikowi. Smith przekonał się wkrótce, że Bellingham jest człowiekiem, który dużo czyta, że posiada rozległy umysł i niezwykłą pamięć. Zachowywał się tak łagodne i uprzejme, że po pewnym czasie można było zapomnieć o odpychającym wrażeniu, jakie wywoływał jego wygląd.

Dla człowieka przemęczonego pracą mógł on być towarzyszem bardzo zajmującym, toteż wkrótce Smith, zapominając o dawnej swojej antypatii

i uprzedzeniach, zaczął mile przyjmować wizyty sąsiada i nawet bywał u niego.

Uderzyło go to, że jego sąsiad, choć niewątpliwie obdarzony wielką inteligencją, zdawał się mieć w swoim umyśle jakieś ziarenko obłąkania. Niekiedy Bellingham zaczynał mówić tonem podniosłym, emfatycznym, prawie władczym, kontrastującym wyraźnie z prostotą jego życia. „To przecież cudowna rzecz, wykrzykiwał, jeżeli się czuje, że można rozkazywać potęgom złym i dobrym – aniołowi miłosierdzia i demonowi zemsty”. O Lee wyraził się kiedyś w następujących słowach: „Lee, to dobry chłopak, uczciwy człowiek, ale nie ma sił ani ambicji. Nie nadaje się na współnika dla człowieka chcącego przedsięwziąć coś wielkiego, to nie jest dla mnie współnik!...”

Słuchając takich i tym podobnych uwag, które wydawały się prawie niedorzeczne, Smith palił spokojnie fajkę, puszczał kłęby dymu, potrzasał głową i udzielał swemu sąsiadowi porad lekarskich. Zalecał mu jak najwięcej świeżego powietrza, a mniej pracy, zwłaszcza w godzinach nocnych. U Bellinghama w ostatnim czasie rozwinęło się przyzwyczajenie, które Smith uważał za objaw osłabienia umysłowego. Otóż, nieustannie mówił sam do siebie. W późnych godzinach nocnych, gdy już nie mógł mieć gości, Smith słyszał jego głos. Bellingham wygłaszał jakiś monolog, długi, niekończący się, przechodzący chwilami w cichutki szept, słyszalny jednak wśród nocnej ciszy. Te nocne monologi denerwowały medyka do tego stopnia, że wspominał o tym często swojemu sąsiadowi. Bellingham czerwienił się wówczas i prze-

czył temu, jakoby wypowiedział choćby jedno słowo. Jednak Abercrombie Smith wierzył przede wszystkim własnym uszom, zwłaszcza że znalazł potwierdzenie swych obserwacji u innego człowieka.

Tomasz Styles, stary służący o pomarszczonej twarzy, który obsługiwał mieszkańców wieży, zapytał go pewnego dnia:

– Panie doktorze, czy pan sądzi, że pan Bellingham jest zdrowy?

– Czy jest zdrowy?

– To jest, czy on jest zdrowy na głowę?

– Dlaczego miałby być chory na głowę?

– No, ja nie wiem, proszę pana, ale jego przyzwyczajenia ogromnie się zmieniły w ostatnich czasach. Jest zupełnie innym człowiekiem, niż był dawniej, chociaż przedtem też był inny niż wszyscy panowie, niż pan Hastie albo pan. On mówi sam do siebie jakieś okropne rzeczy. Dziwię się, że panu to nie przeszkadza. Nie wiem, doprawdy, co mam począć?

– Nie rozumiem, co to was właściwie obchodzi, Styles?

– A jednak to mnie interesuje, panie Smith. Może nie mam racji, ale jednak nie mogę się powstrzymać, aby się tym nie interesować. Niekiedy mi się zdaje, że ja jestem i ojcem, i matką moich młodych panów. Wszyscy oni zwracają się do mnie, jeżeli coś nie jest w porządku, ja zawsze umiem znaleźć wyjście z sytuacji. A pan Bellingham, proszę pana? Muszę przecież wiedzieć, kto nieraz chodzi po pokoju, gdy on wychodzi, a drzwi są zamknięte.

– Styles, mówicie głupstwa.

– Możliwe, proszę pana, ale to słyszałem na własne uszy, gdy...

– Styles, powtarzam, że mówicie głupstwa...

– Dobrze, proszę pana, zadzwoni pan po mnie, kiedy pan mnie będzie potrzebował.

Smith nie zwracał uwagi na gadaninę starego służącego, ale pewien wypadek, który się zdarzył kilka dni potem, zrobił na nim przykre wrażenie i przypomniał mu słowa starego Tomasza Styles'a.

Pewnego wieczora Bellingham odwiedził go dosyć późno i dzielił się z nim interesującymi wspomnieniami o mogiłach z górnego Egiptu, gdy nagle Smith, który posiadał słuch niezmiernie czuły, wyraźnie posłyszał szelest drzwi otwieranych na dole.

– Ktoś wszedł do pańskiego pokoju albo też wyszedł stamtąd – zauważył.

Bellingham zerwał się na równe nogi i przez chwilę pozostawał bez ruchu i bez słowa. Miał minę człowieka na poły przerażonego, na poły niedowierzającego.

– Zamknąłem drzwi na klucz... Jestem prawie pewny, że je zamknąłem... – wyjąkał. – Nikt nie mógłby ich otworzyć.

– Słyszę, że ktoś idzie po schodach w tej chwili – rzekł Smith.

Bellingham rzucił się do drzwi, zamknął je gwałtownie za sobą i szybko zbiegł po schodach. Smith usłyszał, że zatrzymał się w połowie drogi i zdawało mu się również, że słyszy jakieś szepty.

Chwilę potem drzwi na dole zamknęły się, klucz zgrzytnął w zamku, a Bellingham z kroplami potu na bladej twarzy powrócił do pokoju Smitha.

– Wszystko w porządku – rzekł, opadając ciężko na fotel. – To ten idiotyczny pies. Popchnął drzwi i otworzył je. Nie pojmuję, jak mogłem zapomnieć zamknąć je na klucz.

– Nie wiedziałem, że pan ma psa – rzekł Smith, uważnie spoglądając na wzburzoną twarz swego gościa.

– Tak jest, mam psa... co prawda od niedawna... muszę się go pozbyć, sprawia mi mnóstwo kłopotów.

– Wyobrażam sobie, że trudno jest trzymać go w zamknięciu. Zdawałoby się, że wystarczy po prostu zamknąć drzwi, nie trzeba ich wcale zamykać na klucz.

– To bardzo silny pies, a boję się, żeby się gdzieś nie zapodział. To bardzo piękny okaz, nie chciałbym go utracić.

– Sam jestem wielkim amatorem psów – zauważył Smith, obserwując uważnie Bellinghama. – Czy mógłby mi pan pokazać to piękne zwierzę?

– Chętnie, ale nie dzisiaj wieczorem. Mam się teraz z kimś spotkać. A spóźniłem się już kwadrans... Sądzę, że pan mi wybaczy...

Wziął kapelusz i szybko wyszedł z pokoju. Smith słyszał jego kroki, gdy zmierzał do mieszkania, a potem doszło jego uszu zgrzytanie klucza, zamykającego drzwi od wewnątrz.

V

To zdarzenie pozostawiło niemiłe wspomnienie w umyśle młodego medyka. Bellingham skłamał i to skłamał tak niezręcznie, że łatwo się było domyślać jakichś bardzo poważnych pobudek, skłaniających go do ukrywania prawdy.

Smith dobrze wiedział, że jego sąsiad nie ma żadnego psa. Zdawał sobie również sprawę z tego, że kroki usłyszane na schodach nie były stąpieniem zwierzęcia. Ale jeżeli to nie był pies, to kto to był? Wszakże Styles stwierdził już, że po pokoju Bellinghama w czasie jego nieobecności ktoś chodzi.

Czyżby to miała być kobieta?

Smith skłonny był do takiego przypuszczenia. Gdyby to okazało się prawdą, wówczas wykrycie tej tajemnicy przez władze uniwersyteckie groziło Bellinghamowi wydaleniem. Tą trwogą można było wytłumaczyć jego zdenerwowanie i kłamstwa.

A jednak wydawało się wprost nieprawdopodobne, aby student mógł dłuższy czas ukrywać kobietę w swoim pokoju. Wszak to musiałyby wyjść na jaw. Jakiegokolwiek były pobudki postępowania Bellinghama, tkwiło w nich coś niemiłego. Smith, powróciwszy do swych książek, postanowił udaremnić wszelkie próby dalszego poufałego kontaktu ze strony kompromitującego, choć złotoustego, sąsiada. Nie dane mu jednak było pracować w spokoju tego wieczora.

Zaledwie zagłębił się w pracy, gdy dały się słyszeć ciężkie, pośpieszne kroki i przeskakiwanie trzech schodów naraz.

Hastie we flanelowej koszuli wpadł jak burza do pokoju.

– Jeszcze przy pracy – zawołał, rzucając się w głąb fotela – co za kujon z ciebie! Zdaje mi się, że gdyby nawet trzęsienie ziemi zburzyło Oxford, to ty najspokojniej, pośród gruzów, pracowałbyś dalej, nie podnosząc nosa znad książek. Nie chcę cię długo nudzić, puszcze sobie kilka razy dymek i uciekam.

– Co słyhać nowego? – zapytał Smith.

– Nic wielkiego, tylko ta historia z Nortonem? Czy coś o tym słyszałeś?

– Co się stało?

– Dokonano na niego napadu.

– Napadu?

– Tak jest, w chwili, gdy skręcał na High Street.

– Ale kto?...

– Oto właśnie pytanie, w tym tkwi cała tajemnica. Norton przysięga, że to nie była istota ludzka, a sądząc ze śladów, jakie pozostały mu na szyi, gotów jestem podzielić jego zdanie.

– Więc cóż to takiego? Czy mamy wierzyć w duchy? – Abercrombie Smith pogardliwym uśmiechem wyraził swój naukowy sceptycyzm.

– Ależ nie. Ani ja, ani Norton nie myślimy o żadnych duchach. Niewykluczone jednak, że z jakiejś menażerii uciekła w ostatnim czasie wielka małpa i że to zwierzę błądzi po okolicy. Norton przechodzi codziennie przez tę ulicę i prawie zawsze o tej samej godzinie. W tym miejscu znajduje się wielkie drzewo. Norton miał wrażenie, że owa tajemnicza istota spadła na niego z drzewa. Jakkolwiek rzecz się miała,

był już prawie uduszony przez ręce tak silne i cienkie jak stalowe pręty. Nie widział nic oprócz tych rąk ściskających gwałtownie jego szyję. Tracąc głowę, zawył, wówczas na pomoc pospieszyło mu dwóch przechodniów. To „coś” przeskoczyło przez mur jak kot. Nie mógł dokładnie dojrzeć, co to takiego. Norton doznał silnego wstrząśnienia, mogę cię zapewnić.

– Rzeczywiście, dziwna historia z tym tajemniczym dusicielem – zauważył Smith.

– Dusiciel ten miał długie pazury i łatwo przeskoczył przez mur. Ale, á propos, twój sąsiad ucieszyłby się, gdyby się o tym dowiedział. Ma on urazę do Nortona, a o ile go znam, nie jest człowiekiem, który zapomina o urazach... Słuchaj no, drogi kolego, co to za myśl przyszła ci nagle do głowy?

– Żadna – odrzucił krótko Smith.

Podskoczył jednak na krześle, a jego twarz miała taki wyraz, jakby nagle mózg nawiedziła jakaś nieprzyjemna myśl.

– Można by sądzić, że w tym, co powiedziałem, coś cię zaniepokoiło. Ale, ale, podobno zawarłeś bliższą znajomość z Bellinghamem. Wspominał mi o tym Monkhouse Lee.

– Tak jest, znam go trochę. Odwiedził mnie tu raz czy dwa razy.

– No, jesteś już dość stary, aby sam uważać na siebie, bo co do mnie, to nie uważam tego pana za człowieka pewnego, chociaż przyznaję, że ma wielkie zdolności. Zresztą wkrótce sam przekonasz się o tym. Do widzenia kolego. Rozgrywam jutro zawody z Mul-

linsem o puchar wicekanclerza. Początek zawodów o ósmej. Pamiętaj, przyjdź!...

Smith odłożył swoją fajkę i powrócił do książek, ale mimo najlepszej woli nie mógł skoncentrować uwagi na pracy, której zawsze oddawał się z takim zapalem.

Myśl jego wciąż powracała do człowieka, który mieszkał tuż pod nim, i do tajemnicy czającej się w jego mieszkaniu. Myślał o napadzie, którego ofiarą padł Norton, i o nienawiści, jaką Bellingham miał żywić do Nortona.

Te dwa fakty łączyły się w jego umyśle, jakby istniało pomiędzy nimi jakieś tajemnicze wiązadło. A jednak podejrzenie było tak niejasne, tak fantastyczne, że prawie nie śmiał go sam przed sobą wypowiedzieć.

– Niech go diabli wezmą – wykrzyknął Smith, rzucając na podłogę swój podręcznik do patologii. – Zepsuł mi całą noc pracy, a to już wystarczający powód, gdyby nawet nie było innego, żebym go, o ile to możliwe, unikał w przyszłości.

VI

Przez następnych dziesięć dni medyk zagłębił się tak dokładnie w swej pracy, że nie widział swoich sąsiadów, mieszkających na niższym piętrze, ani nic o nich nie słyszał.

Jednak pewnego popołudnia, gdy schodził ze schodów, w chwili kiedy mijał drzwi mieszkania Bellinghama, drzwi te otworzyły się i ukazał się w nich Monkhouse Lee. Oczy młodzieńca błyszcząły

gniewem, irytacja wzdymała jego policzki o oliwkowej cerze. Bellingham szedł tuż za nim.

Jego tłusta, nalana twarz drżała jakąś złą namiętnością.

– Głupi jesteś – zasyczał – pożałujesz tego.

– Być może – wykrzyknął tamten – proszę jednak sobie zapamiętać to, co powiedziałem: skończone raz na zawsze, nie chcę więcej o tym słyszeć.

– Przynrzekłeś jednak...

– I dotrzymam obietnicy. Nikomu nie powiem, ale wolałbym moją małą Helenę widzieć w grobie. Skończone raz na zawsze. Moja siostra zrobi tak, jak jej polecę. Nie chcemy pana więcej widzieć i znać!...

Smith mimo woli musiał wysłuchać tej gwałtownej wymiany słów, przyspieszył jednak kroku, nie chcąc się wdierać w czyjeś tajemnice, a tym bardziej brać udziału w kłótni. Pomiedzy tymi dwoma ludźmi, którzy dotychczas żyli ze sobą tak dobrze, doszło, zapewne, do poważnego konfliktu i najwidoczniej Lee postanowił zerwać małżeńskie projekty swojej siostry. Smith przypomniał sobie słowa Hastiego, który porównał przyszłe małżeństwo do związku ropuchy z gołębiem. Toteż odczuł pewne zadowolenie z takiego obrotu rzeczy. Stwierdził również, że twarz Bellinghama wcale nie była sympatyczna, w chwili gdy opanował go gniew. Zaiste, takiemu człowiekowi nie należało powierzać przyszłości młodej, niewinnej dziewczyny.

VII

Smith mimo woli zapytał siebie, jaka mogła być przyczyna kłótni i jakiego rodzaju obietnice Bellingham wymusił na swym niedoszłym szwagrze. Wiadocznie musiała to być ważna obietnica, ponieważ Bellingham obawiał się jej złamania.

W owym dniu Hastie miał współzawodniczyć z Mullinsem i tłum ludzi podążał wzdłuż brzegu rzeki. Majowe słońce świeciło jasno, a powietrze przepęłniała woń wiosennych kwiatów. Nad rzeką, w chwili gdy zjawił się tam Smith, znajdowały się już tłumy pragnące przyjrzeć się sportowym rozrywkom młodzieży. Medyk wyszukał sobie miejsce, z którego mógł najlepiej obserwować zawody. Za chwilę usłyszał świst syreny, który oznajmiał rozpoczęcie zawodów. Wyciągnął szyję i zobaczył, że Hastie, kierując energicznie łódką, od razu wyprzedził o spory kawałek swego przeciwnika. Dały się słyszeć okrzyki, oklaski. Smith również rzucił głośne „hura” swemu przyjacielowi, a przekonany już o jego zwycięstwie spojrzął na zegarek i postanowił powrócić do swej pracy, którą tak niechętnie przerwał. W chwili gdy miał już odejść, poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia i zobaczył koło siebie młodego Monkhouse’a Lee.

– Zobaczyłem pana – rzekł młodzieniec tonem nieśmiałym i prawie błagalnym – jeżeli pan znajdzie dla mnie trochę czasu, to prosiłbym pana o pół godziny rozmowy. Ta oto willa należy do mnie. Wynająłem ją do spółki z Harringtonem z Kings College. Może zechciałby pan wstąpić do mnie na filiżankę herbaty?

– Powiniennem już wracać do domu – rzekł Smith.
– Mam ogromnie dużo pracy. Ale z przyjemnością wstąpię do pańskiego mieszkania na kilka minut. Nie wychodziłbym w ogóle z domu, gdyby Hastie nie należał do moich najserdeczniejszych przyjaciół.

– I ja uważam go za przyjaciela. Prawda, w jakiej pięknej jest formie? Mullins nie umywa się do niego. Ale proszę, niech pan wejdzie. Ta willa jest bardzo miłym schronieniem, gdzie pracuje się doskonale w czasie letnich miesięcy.

Był to mały biały domek o zielonych drzwiach i okiennicach, otoczony niewielkim ogródkiem, oddalony o kilkadziesiąt metrów od wybrzeża rzeki.

Wewnątrz domu główny pokój umeblowano z wielką prostotą, jak jakieś biuro: dębowy stół, drewniane półki przygniecione stosami książek, kilka reprodukcji na ścianach. Na stoliku syczała paląca się maszynka naftowa. Obok na tacy znajdowało się wszystko, co jest potrzebne do przygotowania i podania herbaty.

– Niechże pan siądzie i zapali papierosa – zapraszał uprzejmie Lee. – Napije się pan herbaty? Do prawdy, to bardzo miło z pańskiej strony, że zechciał pan wstąpić, wiem bowiem, że czas pański jest bardzo cenny. Mam jednak coś ważnego do powiedzenia. Mianowicie muszę panu powiedzieć, że na pańskim miejscu zmieniłbym mieszkanie.

– O!...

Smith spojrział mu w oczy, wstrzymując ruch ręki, w której trzymał zapaloną zapałkę. Zamierzał ją przytknąć do trzymanego w ustach papierosa.

– Tak, to, co powiedziałem, może się panu wydać niezwykle, ale nie mogę podać powodów, ponieważ związany jestem uroczystym przyrzeczeniem. Nie mogłem jednak pana nie ostrzec, że mieszkanie w najbliższym sąsiedztwie Bellinghama może być niebezpieczne. Ja również zamierzam go unikać, o ile to możliwe, i dlatego przeprowadzam się do tej willi.

– Niebezpieczne? Co pan chce przez to powiedzieć?

– Ach, właśnie tego nie mogę powiedzieć. Ale proszę usłuchać mojej rady i zmienić pokój. Pokłóciliśmy się dzisiaj ostatecznie. Musiał pan nawet coś z tego usłyszeć, gdyż schodził pan właśnie po schodach.

– Widziałem kolego, że byłeś zupełnie wyprowadzony z równowagi.

– Ach, Smith, ten Bellingham to straszny człowiek!... Tyle tylko mogę powiedzieć. Nasunęły mi się pewne wątpliwości co do niego od owej nocy, kiedy to zemdłał i kiedy razem byliśmy w jego pokoju. A dzisiaj powiedział mi rzeczy, o których usłyszawszy, po prostu zdębiałem, skamieniałem z przerażenia!... Z tego powodu doszło między nami do gwałtownej kłótni i ostatecznego zerwania znajomości. Nie jestem świętoszkiem, ale jestem synem pastora i uważam, że są pewne rzeczy, które powinno się zostawić w spokoju. Dziękuję tylko Bogu, że odkryłem wszystko, za-

nim jeszcze nie jest za późno. Bo on przecież, żeniąc się z moją siostrą, miał wejść do naszej rodziny.

– Wszystko to bardzo pięknie, mój Lee – rzekł sucho Smith. – Mówisz jednak za dużo, nie mówiąc jednak o wszystkim. A teraz ja powiem moje zdanie: W przypadku gdy istnieją istotne powody do udzielenia poważnych ostrzeżeń, nie istnieje przyrzeczenie wiążące. Jeżeli zobaczę, że jakiś łotr zamierza wysadzić dom w powietrze, nic nie powstrzyma mnie od tego, by mu przeszkodzić.

– Ależ ja nie mogę mu przeszkodzić i nie mogę zrobić nic, jak tylko ostrzec pana...

– Nie mówiąc mi, przed czym mnie pan ostrzeżga?

– Przed Bellinghamem.

– Ależ to dziecinada. Dlaczego miałbym się go obawiać bardziej niż jakiegokolwiek innego człowieka?

– Nie wolno mi tego powiedzieć, uważam jednak, że zmiana mieszkania jest konieczna. Grozi panu niebezpieczeństwo; nie sądzę, aby Bellingham miał zamiar wręcz panu szkodzić, ale może się zdarzyć coś złego. Obecnie jest on niebezpiecznym sąsiadem.

– Być może ja wiem o tym więcej, niż się koledze zdaje – rzekł Smith. – Proszę sobie wyobrazić, że ja wiem o tym, iż w mieszkaniu Bellinghama znajduje się stale jeszcze druga osoba.

Monkhouse Lee podskoczył na krześle, nie panując nad swym wzburzeniem.

– Jak to kolego?

– Kobieta...

Lee machnął ręką zniechęcony.